



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VI



ŚMIERĆ
KRÓLÓW



B E R N A R D
Cornwell

ŚMIERĆ
KRÓLÓW

TEUMACZENIE
ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *Death of Kings*

Copyright © Bernard Cornwell 2011

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Anna Dobrzańska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-560-0



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

WIEDŹMA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Każdy dzień jest zwyczajny – rzekł ojciec Willibald. – Do czasu. – Uśmiechnął się radośnie, przekonany, że powiedział coś, co uznaję za znaczące, a gdy się nie odezwałem, wyglądał na srodze rozczarowanego. – Każdy dzień – zaczął od nowa.

– Słyszałem te brednie – warknąłem.

– Do czasu – dokończył smętnie.

Lubiłem Willibalda, chociaż był klechę. Nauczał mnie w dzieciństwie, a teraz traktowałem go jak przyjaciela. Był łagodny i poważny, i gdyby cisi w istocie na własność posiadli ziemię*, ojciec Willibald byłby bogaty ponad wszelką miarę.

Każdy dzień jest zwyczajny, dopóki coś się nie zmieni, a tamten chłodny niedzielny poranek wydawał się równie zwyczajny, jak każdy inny – dopóki garstka głupców nie spróbowała pozbawić mnie życia. Panował przejmujący chłód. W tygodniu padał deszcz, lecz tego ranka kałuże ściał mróz, a szron pobielił trawę. Ojciec Willibald przybył wkrótce po wschodzie słońca i zastał mnie na łące.

– Wczoraj wieczorem nie mogliśmy znaleźć twojego dworu – wytłumaczył swoje wczesne przybycie, trzęsąc się jak osika. – Zatrzymaliśmy się przeto w klasztorze Świętego

* Zob.: Biblia Tysiąclecia, Mt 5,5 (przyp. tłum.).

Rumwolda – ciągnął i niedbale machnął ręką w stronę południa. – Ależ tam było zimno – dodał po chwili.

– Skąpe kanalie z tych mnichów – odparłem. Jak co tydzień miałem dostarczyć do Świętego Rumwolda wóz z drewnem na opał, był to jednak obowiązek, który postanowiłem zignorować. Ojczulkowie sami mogli wycinać drzewa. – Kim był Rumwold? – zapytałem Willibalda. Znałem odpowiedź, ale chciałem utrzyć księżulkowi nosa.

– Był bardzo pobożnym chłopcem, panie – odparł.

– Chłopcem?

– Dziecięciem – rzekł z westchnieniem, jak gdyby przewidywał, w jakim kierunku zmierza nasza rozmowa. – Miał ledwie trzy dni, kiedy odszedł z tego świata.

– Obwołaliście świętym pacholę, które przeżyło ledwie trzy dni?

Willibald zamachał rękami.

– Zaiste, cuda się zdarzają, panie – rzekł. – Mówią, że ssąc matczyną pierś, mały Rumwold śpiewał hymny pochwalne na cześć Pana naszego.

– Czuję się podobnie za każdym razem, gdy miętoszę w dłoni niewieścią pierś – odparłem. – Czy to czyni mnie świętym?

Willibald zadrzał i rozsądnie zmienił temat.

– Przynoszę wieści od aethelinga – wyluszczył, mając na myśli Edwarda, najstarszego syna króla Alfreda.

– Mów zatem.

– Jest teraz królem Kentu – oznajmił radośnie ojczulek.

– Kazał ci jechać taki kawał drogi, żebyś mi o tym powiedział?

– Nie, nie. Pomyślałem, że może jeszcze nie słyszałeś.

– Oczywiście, że słyszałem – oburzyłem się. Alfred, król Wessexu, uczynił swojego pierworodnego królem Kentu, a to

oznaczało, że Edward mógł doskonalić się w królowaniu, nie wyrządzając przy tym zbyt wielu szkód, Kent pozostawał bowiem częścią Wessexu. – Zdążył już przywieść Kent do upadku?

– Ależ nie – odparł gorliwie Willibald. – Choć... – Zawiesił głos.

– Choć co?

– Ach, to nic – rzucił beztrosko i z udawanym zainteresowaniem spojrzął na owce. – Ile czarnych owiec masz, panie?

– Mógłbym ucaścić cię za kostki i wytrząsnąć z ciebie wieści – ostrzegłem.

– Sęk w tym, że Edward... Cóż... – Zawahał się, zaraz jednak uznał, że lepiej będzie, jeśli wyzna prawdę, na wypadek gdybym rzeczywiście miał ją z niego wytrząsnąć. – Rzecz w tym, że Edward chciał poślubić dziewczynę z Kentu, ale ojciec mu na to nie pozwolił. Lecz to doprawdy bez znaczenia!

Roześmiałem się. A zatem młody Edward nie był jednak taki idealny.

– Chcesz powiedzieć, że Edward oszalał z miłości, tak?

– Nie, nie! To tylko młodzieńcze zadurzenie. Zresztą już mu przeszło. Ojciec mu wybaczył.

Nie ciągnąłem go dłużej za język, choć powinienem mieć większe baczenie na ową plotkę.

– Jakie więc wieści przesyła młody Edward? – podjąłem. Staliśmy na łące mojego majątku w Buccingahamm, we wschodniej Mercji. Ziemie po prawdzie należały do Aethelflæd, ale dzierżawiła mi je w zamian za żywność, a posiadłość była na tyle duża, by wyżywić trzydziestu zbrojnych, z których większość tego ranka bawiła w kościele. – I czemu nie jesteś na mszy? – spytałem Willibalda, zanim miał sposobność odpowiedzieć na pierwsze pytanie. – Dziś przecież święto.

– Dzień Świętego Alnotha – odparł, jak gdyby było to coś wyjątkowego. – Wpierw jednak chciałem cię odnaleźć! – Zdawał się podekscytowany. – Mam ci do przekazania wieści od króla Edwarda. Każdy dzień jest zwyczajny...

– Aż do czasu – dokończyłem szorstko.

– Tak, panie – zgodził się bez przekonania i skonsternowany ściągnął brwi. – A ty co porabiasz?

– Patrzę na owce – odparłem zgodnie z prawdą. Spoglądałem na przeszło dwie setki owiec, które wgapiały się we mnie z żalonym beczaniem.

Księżędo odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na stado.

– Dorodne zwierzęta – orzekł, jakby znał się na rzeczy.

– Ledwie wełna i baranina – skwitowałem. – To ja decyduję, które przeżyją, a które pójdą pod nóż. – Nastal czas uboju, ponure dni, kiedy nasze zwierzęta szły na rzeź. Zamierzaliśmy zachować kilka, by rozmnożyły się na wiosnę, większość jednak musiała umrzeć, albowiem nie mieliśmy wystarczająco dużo paszy, by wyżywić przez zimę całe stado. – Obserwuję ich grzbiety – wyluszczyłem Willibaldowi – bo szron topnieje najszybciej na runie tych najzdrowszych. Dlatego je właśnie oszczędzimy. – Podniosłem jego wełnianą czapę i zmierzwiłem siwiejące włosy. – Ani śladu szronu – zauważyłem radośnie – w przeciwnym razie musiałbym poderżnąć ci gardło. – Wskazałem owcę z ułamanym rogiem. – Przytrzymaj tamtą!

– Tak, panie! – odparł pasterz. Był powykrzywianym, małym człowieczkiem z brodą, która skrywała połowę jego twarzy.

Warknął na dwa ogary, nakazując im pozostać na miejscu, po czym wszedł między zwierzęta i pastuszym kijem przegonił owcę, by dołączyła do stojącego na skraju łąki mniejszego stada. Jeden z ogarów, wielkie psisko z sierścią poznaczoną

bliznami, przyskoczył do owcy, jednak pastuch go odgonił. Nie potrzebował mojej pomocy, by orzec o tym, które zwierzęta przeżyją, a które pójdą pod nóż. Od dziecka zajmował się ubojem. Jednak pan decydujący o tym, które z jego zwierząt pójdą na rzeź, winien spędzić z nimi trochę czasu i okazać im odrobinę szacunku.

– Dzień sądu – zauważył ojciec Willibald i naciągnął czapę mocniej na uszy.

– Ile? – zapytałem pasterza.

– Dwa tuziny i jedna, panie – odparł.

– To wystarczy?

– Wystarczy, panie.

– Resztę więc ubij – nakazałem.

– Dwa tuziny i jedna? – spytał ojczulek, nie przestając się trząść.

– Dwadzieścia i pięć – wyjaśniłem. – Tuzin, dwa tuziny, trzy tuziny, cztery tuziny, pięć tuzinów. Tak liczą pasterze. Nie wiem dlaczego. Świat jest pełen tajemnic. Podobno niektórzy wierzą nawet, że trzydniowy osesek może zostać świętym.

– Nie wolno kpić z Boga, panie – odparł ojciec Willibald, siłąc się na surowość.

– Ja mogę – rzekłem. – A zatem czego chce młody Edward?

– Och, to ci dopiero wieści! – zaczął ochoczo, urwał jednak, widząc moją podniesioną rękę.

Ogary zaczęły warczeć. Oba przypadły do ziemi i wpatrywały się w stronę lasu. Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Wy tężalem wzrok, jednak pośród nagich gałęzi i ostrokrzewów nie dojrzałem żadnego niebezpieczeństwa.

– Wilki? – spytałem pastucha.

– Nie widziałem wilka, odkąd zawalił się stary most, panie – odrzekł.

Sierść na karkach zwierząt zjeżyła się. Pasterz cmoknął, żeby je uspokoić, a gdy gwizdnął, jeden z ogarów pomknął w stronę lasu. Drugi zaskomlił żałośnie, ale niski pomruk pasterza go uspokoił.

Biegący ogar skręcił w stronę drzew. Była to suka, która znała się na rzeczy. Przesadziła oszroniony rów i zniknęła wśród ostrokrzewów, a zaraz potem ujadając, wypadła pomiędzy krzaków. Przeskoczyła rów, przystanęła na chwilę, spoglądając w stronę lasu, po czym rzuciła się do ucieczki w chwili, gdy spośród cieni wyleciała ze świstem strzala. Pasterz gwizdnął przenikliwie i suka, umknąwszy przed strzałą, pognąła ku nam.

– Banici – orzekłem.

– Albo ludzie polujący na jelenie – zauważył pasterz.

– Moje jelenie – rzuciłem.

Wciąż wpatrywałem się między drzewa. Po co kłusownicy miałiby strzelać do psa pasterskiego? Lepiej by zrobili, uciekając. Może więc miałem do czynienia z wyjątkowo bezrozumnymi kłusownikami?

Deszcz ze śniegiem przybrał na sile, zawiewany przez dmący od wschodu zimny wiatr. Odziany w grubą futrzaną pelerynę, wysokie buty i czapkę z lisa nie odczuwałem chłodu, lecz Willibald obleczony w swą kapłańską czerń trząsł się mimo wełnianej peleryny i czapy.

– Chodźmy do dworu – zwróciłem się do niego. – W twoim wieku nie powinieneś wypuszczać się zimą na zewnątrz.

– Nie spodziewałem się deszczu – odparł zbolalym głosem.

– Przed południem sygnie śniegiem – orzekł pasterz.

– Twoja chata znajduje się w pobliżu? – spytałem go.

Wskazał na północ.

– Zaraz za młodnikiem – rzekł, mając na myśli gęstą kępę drzew, przez którą biegła ścieżka.

– Masz tam palenisko?

– Tak, panie.

– Prowadź więc – rozkazałem. Zamierzałem zostawić ojczulka przy ogniu i udać się do dworu po ciepłą pelerynę i potulnego konia, którego mógłby dosiąść.

Szliśmy na północ, gdy psy znów poczęły warczeć. Odwróciłem się, by spojrzeć na południe, i na skraju lasu dostrzegłem postacie. Nierówny rząd mężczyzn, którzy się nam przypatrywali.

– Znasz ich? – zagadnąłem pasterza.

– Nie są stąd, panie. Tuzin i jeden – dodał, mając na myśli, że jest ich trzynastu. – To zła liczba, panie. – Powiedziawszy to, uczynił znak krzyża.

– Co... – zaczął ojciec Willibald.

– Cicho – syknąłem. Oba psy szczyrzyły teraz kły. – Banici – zgadywałem, nie odrywając wzroku od nieznanym.

– Święty Alnoth został zamordowany przez banitów – rzekł z niepokojem Willibald.

– A zatem nie wszystko, co robią banici, jest złe – odparłem. – Ci jednak to głupcy.

– Głupcy?

– Zaatakowali nas – odparłem. – Zostaną więc wytropieni i zabici.

– Jeśli pierwsi oni nie zabiją nas – zauważył ksiądz.

– Idź już! – Pchnąłem go w kierunku drzew, a sam dotknąłem dłonią rękojeści miecza i ruszyłem jego śladem.

Nie miałem przy sobie Oddechu Węża, swojego wielkiego miecza bitewnego, wziąłem mniejsze i lżejsze ostrze, które zdobyłem na Duńczyku ubitym przeze mnie pod Beamfleit. Był to dobry miecz, choć w tej chwili żałowałem, że nie mam przytroczonego do pasa Oddechu Węża. Obejrzałem

się za siebie. Trzynastu ludzi przechodziło właśnie przez rów, kierując się w naszą stronę. Dwóch z nich miało luki, podczas gdy pozostali zdawali się uzbrojeni w topory, noże lub we włócznie. Zdyszany Willibald ledwie dotrzymywał nam kroku.

– Kto to? – dopytywał.

– Bandyci? – rzuciłem. – Włóczędzy? Nie wiem. Uciekaj! – Wepchnąłem go między drzewa, dobyłem miecza i odwróciłem się do naszych prześladowców. Jeden z nich wyciągał właśnie strzałę z wiszącej u pasa torby. To mnie przekonało, że najlepiej zrobię, jeśli czmychnę do młodnika w ślad za ojczulkiem. Strzała świsnęła obok mnie i wbiła się w poszycie. Nie miałem kolczugi, a gruba futrzana peleryna nie chroniła przed strzałami myśliwych. – Nie zatrzymuj się! – krzyknąłem do Willibalda i sam, utykając, ruszyłem w górę ścieżki.

W bitwie pod Ethandun otrzymałem ranę w prawe udo i choć mogłem chodzić, a nawet biegać powoli, wiedziałem, że nie dam rady odsadzić ludzi, których strzały z łatwością mogły mnie dosięgnąć. Przyspieszyłem kroku, gdy druga strzała odbiła się od gałęzi i tnąc powietrze, zniknęła między drzewami. Każdy dzień jest zwyczajny – pomyślałem – do czasu, aż wydarzy się coś ciekawego. Moi prześladowcy nie byli w stanie wypatrzeć mnie pośród czarnych pni i rosnących gęsto ostrokrzewów, założyli jednak, że podążylem za Willibaldem, trzymali się więc dróżki, podczas gdy ja przycupnąłem w zaroślach, kryjąc się za gęstwą lśniących liści z naciągniętym na głowę ciężkim futrem. Minęli mnie, nie oglądając się za siebie. Przewodzili im dwaj lucznicy.

Pozwoliłem, by wysforowali się naprzód, i poszedłem za nimi. Kiedy mnie mijali, usłyszałem, jak mówią, wiedziałem przeto, że byli Sasami, a po akcencie poznałem, iż pochodzili z Mercji. Zakładałem, że to rabusie. Rzymski trakt prowadził

głęboko w pobliskie lasy, gdzie bezpieczny ludzie zasadzali się na wędrowców, którzy by się chronić, podróżowali w dużych grupach. Dwukrotnie prowadziłem swoich wojowników przeciwko takim bandytom i myślałem, że przekonałem ich, by uprawiali swój nieczny proceder z dala od mojego majątku, nie wiedziałem jednak, kto jeszcze grasuje w moich lasach. Nie zdarzyło się do tej pory, by włóczędzy najechali me włości. Czulem, że włoski na karku stają mi dęba.

Ostrożnie podszedłem na skraj drzew i ujrzałem rzezimieszków stojących przy chacie pasterza, przywodzącej na myśl trawiasty pagórek. W istocie była to przykryta darnią sterta gałęzi z dziurą pośrodku, przez którą ulatywał dym z paleniska. Ojciec Willibald został wprawdzie pochwycony, ale był cały i zdrow – może chronił go jego kapłański status. Nigdzie jednak nie było śladu pasterza. Jeden z mężczyzn trzymał księżulka. Pozostali musieli zgadywać, że ukrywam się pośród drzew, bo wytyżając wzrok, wgapiali się w zagajnik.

Nagle z mojej lewej strony wypadły psy pasterskie i ujadając, rzuciły się na bandytów. Gnały co sił, sadząc sprężyste susy, krążyły wokół trzynastu mężczyzn, od czasu do czasu przyskakiwały do nich, kłapały zębami i odskakiwały w tył. Tylko jeden z oprychów miał miecz, operował nim jednak niezdarnie. Próbował ugodzić sukę, lecz ostrze minęło zwierzę o długość ramienia. Jeden z dwóch luczników nałożył strzałę i naciągnął cięciwę, ale zaraz potem runął na plecy, jak gdyby uderzony niewidzialnym młotem. Osunął się na ziemię, podczas gdy uwolniona strzała poszybowała w niebo i nie czyniąc szkody, spadła w drzewa za moimi plecami. Psy opadły na cztery łapy i warczały wściekle, szczerząc kły. Lucznik szamotał się, ale najwyraźniej nie był w stanie się podnieść. Towarzysze patrzyli na niego przerażonym wzrokiem.

Drugi łucznik gotował się do wypuszczenia strzały, nagle jednak wzdrygnął się, odrzucił luk i zakrył rękami twarz, na której zobaczyłem strużkę krwi, czerwonej jak jagody ostrokrzewu. Plama czerwieni, odcinająca się na tle zimowego krajobrazu, zniknęła, gdy mężczyzna zgiął się wpół z bólu. Ogary, szczerkając, pognały między drzewa. Deszcz ze śniegiem przybrał na sile, tłukąc wściekle w nagie gałęzie. Dwóch rzezimieszków podeszło do chaty pasterza, lecz ich przywódca przywołał ich z powrotem. Był młodszy od pozostałych i na oko bardziej od nich zamożny, a przynajmniej nie tak biedny, jak jego towarzysze. Miał pociągłą twarz, rozbiegane oczka i krótką jasną brodę. Nosił zniszczony skórzany kaftan, pod którym dostrzegłem kolczugę. Był więc wojownikiem albo kaftan był kradziony.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołał.

Nie odpowiedziałem. Drzewa zapewniały mi dobrą kryjówkę, ale wiedziałem, że jeśli moi prześladowcy zaczną przetrząsać młodnik, będę musiał ratować się ucieczką. Cokolwiek ich jednak zraniło, sprawiło, że zrobili się niespokojni. Cóż to mogło być? Bogowie – pomyślałem – a może któryś z chrześcijańskich świętych. Alnoth musiał szczerze nienawidzić banitów, skoro zginął z ich rąk, a ja nie wątpiłem, że mam do czynienia z banitami, którzy zostali wysłani, by pozbawić mnie życia. Nie dziwiło mnie to, albowiem w owym czasie miałem wielu wrogów. Wciąż ich mam, choć teraz żyję ukryty za najmocniejszym ostrokołem w Anglii Północnej. Wtedy jednak, zimą 898 roku, nie było Anglii. Istniały królestwa Northumbrii i Anglii Wschodniej, Mercji i Wessexu. Dwoma pierwszymi władali Duńczycy, Wessex należał do Sasów, a Mercja znajdowała się w stanie chaosu, po części duńska, a po części saska. Ja byłem jak Mercja, urodziłem się bowiem Sasem, lecz wychowali mnie Duńczycy. Czcilem

duńskich bogów, choć z woli przeznaczenia zostałem obrońcą chrześcijańskich Sasów, tarczą, która osłaniała ich przed ciągłym zagrożeniem ze strony pogańskich Duńczyków. Wielu wikingów pragnęło więc mojej śmierci, choć nie znałem żadnego, który wynająłby mercyjskich zbirów, by urządzili na mnie zasadzkę. Ale i wśród Sasów byli tacy, których ucieszyłaby wieść o mojej śmierci. Mój kuzyn Aethelred, pan Mercji, opłaciłby sowicie każdego, kto pozbawi mnie życia. On jednak posłałby przeciw mnie zbrojnych, nie byle oprychów. Tymczasem to on pierwszy przyszedł mi do głowy. Aethelred był mężem Aethelflaed, córki Alfreda, króla Wessexu, a ponieważ uczyniłem z niego rogakza, postanowił zapewne odplacić mi pięknym za nadobne i nasłał na mnie trzynastu banitów.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołał ponownie młodzik, ale jedyną odpowiedzią było nagle przeraźliwe beczenie.

Rzeka owiec płynęła ścieżką przez zagajnik, poganiana przez dwa psy pasterskie, które kłapiąc zębiskami, gnały je w kierunku trzynastu mężczyzn. Gdy dotarły do celu, szczerząc kły, zaczęły biegać w kółko i zagoniły owce tak, że te utworzyły ciasny okrąg, w którym zamknęły bandytów. Śmiałem się w głos. Byłem Uhtredem z Bebbanburga, człowiekiem, który nad brzegiem morza pozbawił życia wielkiego Ubbę i rozbił armię Haestena pod Beamfleot, ale w ten zimny niedzielny poranek lepszym panem wojny okazał się zwykły pastuch. Jego przerażone stado zacieśniło krąg wokół banitów, tak że z ledwością mogli się poruszyć. Psy ujadają, owce beczają, a trzynastu mężczyzn traciło resztki nadziei.

Widząc to, wyszedłem spomiędzy drzew.

– Wołaliście mnie? – zapytałem.

Młodzik rzucił się na mnie, lecz drogę zagradzały mu zbite w ciasną gromadę owce. Rozjuszony kopnął je i próbował ciąć

mieczem, ale im bardziej się miotał, tym bardziej robiły się niespokojne, zaganiane do środka przez krążące wokół nich ogary. Młodzik zaklął i ucapił ojca Willibalda.

– Puść nas albo go zabijemy – warknął.

– To chrześcijanin – odparłem, pokazując mu młot Thora, który nosiłem zawieszony na szyi – czemu więc miałby mnie obchodzić?

Willibald spoglądał na mnie przerażonym wzrokiem, ale zaraz potem odwrócił się, gdy jeden z mężczyzn zawył z bólu. Znów czerwień krwi błysnęła pośród szarugi, jednak tym razem zobaczyłem, co ją utoczyło. Nie byli to ani bogowie, ani zamordowany święty, lecz pasterz, który wychynął spomiędzy drzew, dzierżąc w dłoni procę. Wyjął z sakwy kamyk, umieścił go w rzemieniu i zakręcił nim. Rozległ się świst, a gdy pastuch wypuścił z ręki koniec rzemienia, kamień wystrzelił w powietrze.

Ogarnięci paniką banici odwrócili się, a ja gestem nakazałem pasterzowi, by pozwolił im odejść. Ten gwizdnął na psy, a wówczas i ludzie, i owce rozpiezchli się. Zbójce rzucili się do ucieczki, jednak jeden z włóczników wciąż leżał na ziemi oszołomiony po tym, jak wystrzelony z procy kamień trafił go w głowę. Młodzik, najwyraźniej odważniejszy od swoich kompanów, podszedł do mnie, myśląc może, że tamci mu pomogą, wkrótce przekonał się jednak, że został sam. Po jego twarzy przemknął cień przerażenia, a gdy się odwrócił, suka rzuciła się na niego, zatapiając kły w ręce, w której dzierżył miecz. Ten wrzasnął i próbował odegnać od siebie rozjuszone zwierzę, lecz w sukurs suce przybiegł jej towarzysz. Młodzik nadal zdzierał gardło, kiedy płazem miecza uderzyłem go w tył głowy.

– Możesz teraz odwołać psy – zwróciłem się do pasterza.

Pierwszy z łuczników nadal dychał, ale włosy nad prawym uchem miał zlepione krwią. Z całej siły kopnąłem go w żebra. Jęknął, ale był bez przytomności. Podąłem pasterzowi łuk i torbę ze strzałami.

– Jak cię zwa?

– Egbert, panie.

– Jesteś teraz bogatym mężem, Egbercie – rzekłem mu. Chciałem, by moje słowa się ziściły. Nagrodziłbym go sowicie za to, co uczynił tego ranka, ale nie byłem już zamożnym panem. Wydałem bogactwa na ludzi, kolczugi i broń, potrzebne, by pokonać Haestena, i tamtej zimy byłem biedny jak mysz kościelna.

Pozostali bandyci umknęli na północ i zniknęli mi z oczu. Ojciec Willibald trząsł się jak osika.

– Szukali ciebie, panie – rzekł, szcękając zębami. – Zapacono im, by cię zabili.

Pochyliłem się nad łucznikiem. Wyrzucony z procy kamień rozłupał mu czaszkę i wśród zlepionych posoką włosów dojrzałem odłamek kości. Kiedy jeden z ogarów przytruchtał, żeby obwąchać rannego, nagrodziłem go, głaszcząc gęstą, szorstką sierść.

– To dobre psy – zwróciłem się do Egberta.

– Dobrze do polowań na wilki, panie – odparł i unosząc procę, dodał: – Ale to lepiej się nadaje.

– Wcale zręcznie sobie z nią radzisz – zauważyłem. Mało powiedziane, albowiem w dłoniach pasterza proca była śmiertelnym orężem.

– Dwadzieścia pięć lat praktyki, panie. Nic nie odstrasza wilka tak jak kamień.

– Ktoś ich opłacił, żeby mnie zabili? – spytałem Willibalda.

– Tak mówili. Ktoś ich opłacił, żeby cię zabili.

– Wejdz do chaty – rzekłem. – Ogrzej się. – Po tych słowach spojrziałem na młodzika, którego strzegł większy z ogarów. – Jak cię zwa?

– Waerfurth, panie – odpowiedział niechętnie po chwili wahania.

– Kto wam zapłacił?

– Nie wiem, panie.

Wyglądało na to, że mówił prawdę. Waerfurth i jego towarzysze pochodzili z pobliskiego Tofeceasteru, osady na północy. Wyznał, że jakiś człowiek obiecał zapłacić im moją wagę w srebrze w zamian za moją śmierć. Ów nieznajomy podsunął im pomysł, że najlepiej będzie zasadzić się na mnie w niedzielny poranek, kiedy to większość moich ludzi bawi w kościele. Waerfurth zwerbował pozostałych dwunastu mężczyzn. Musiał wiedzieć, że to niełatwe zadanie, byłem bowiem osławionym wojownikiem, a i nagrodę obiecano wielką.

– Ten mężczyzna był Duńczykiem czy Sasem? – spytałem.

– Sasem, panie.

– I nie znasz go?

– Nie, panie.

Przepytywałem go jeszcze, ale dowiedziałem się tylko, że tamten był chudy, łysy i stracił jedno oko. Taki opis niewiele mi mówił. Jednooki i łysy? To mógł być niemal każdy. Ciągnąłem Waerfurtha za język, aż nie miał mi nic więcej do powiedzenia. Wówczas i on, i łuczniczka zawisli na drzewie.

A ojciec Willibald pokazał mi magiczną rybę.

We dworze czekała na mnie delegacja. Szesnastu umyślnych przybyło z Alfredowej stolicy w Wintanceasterze, a wśród nich nie mniej niż pięciu księży. Dwaj, podobnie jak Willibald,

pochodzili z Wessexu, a dwaj inni byli Mercjanami osiadłymi najwyraźniej w Anglii Wschodniej. Znałem ich obu, choć w pierwszej chwili ich nie rozpoznałem. Bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht niemal trzydzieści lat temu razem ze mną byli zakładnikami w Mercji. Jako dzieci zostaliśmy pochwyceni przez Duńczyków, lecz podczas gdy ja przyjąłem ów los z otwartymi ramionami, bliźniacy nie mogli się z nim pogodzić. Teraz liczyli sobie prawie czterdzieści wiosen. Dwaj księża, podobni do siebie jak dwie krople wody – mocno zbudowani, o okrągłych twarzach i siwiejących brodach.

– Śledziliśmy twoje losy – rzekł jeden z nich.

– Z podziwem – dokończył drugi.

W dzieciństwie nie potrafiłem ich odróżnić i podobnie było teraz. Lecz wciąż jeden kończył zdanie wypowiedane przez drugiego.

– Z niechęcią – rzekł tamten.

– Z podziwem – upierał się jego bliźniak.

– Z niechęcią? – spytałem wrogim tonem.

– Wiadomo wszak, że Alfred jest rozzarowany.

– Że wyrzekasz się prawdziwej wiary, lecz...

– Codziennie się za ciebie modlimy!

Pozostali dwaj księża, Sasi zachodni, byli ludźmi Alfreda. To oni pomagali mu ustanawiać prawa i wyglądało na to, że przybyli, by mi doradzać. Resztę gości, w sumie jedenastu, stanowili wojownicy, pięciu z Anglii Wschodniej i sześciu z Wessexu. Wysłano ich, by strzegli duchownych w ich podróży.

To oni przywieźli magiczną rybę.

– Król Eohric – zaczął jeden z bliźniaków, nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy był to Ceolnoth, czy Ceolberht.

– Pragnie sojuszu z Wessexem – dokończył jego brat.

- I z Mercją!
 - Chrześcijańskimi królestwami.
 - Dlatego królowie Alfred i Edward – tym razem głos zabrał ojciec Willibald – przysłali podarek dla króla Eohrica.
 - Alfred wciąż żyje? – spytałem.
 - Tak, Bogu niech będą dzięki – odparł Willibald. – Choć podupał na zdrowiu.
 - Jest bliski śmierci – wyłuszczył jeden z zachodniosaskich księży.
 - Przyszedł na świat bliski śmierci – rzekłem – i umiera, odkąd go znam. Minie jeszcze z dziesięć lat, nim wyzionie ducha.
 - Módlmy się, aby tak się stało – rzekł gorliwie ojciec Willibald i uczynił znak krzyża. – Ale ma już pięćdziesiąt wiosen i srodze niedomaga. Naprawdę umiera.
 - Dlatego pragnie sojuszu – ciągnął zachodniosaski klecha. – I dlatego lord Edward zwraca się do ciebie z prośbą.
 - Król Edward – poprawił go ojciec Willibald.
 - Kto więc i czego ode mnie chce? – spytałem. – Alfred z Wessexu czy Edward z Kentu?
 - Edward – odparł Willibald.
 - Eohric – rzekli zgodnie Ceolnoth i Ceolberht.
 - Alfred – odezwał się saski książdz z zachodu.
 - Oni wszyscy – dodał Willibald. – Wszystkim im na tym zależy, panie.
- Edward lub Alfred, a może obaj, chcieli, bym udał się do władającego Anglią Wschodnią króla Eohrica. Eohric był Duńczykiem, przyjął jednak wiarę chrześcijańską i posłał bliźniaków do Alfreda, proponując zawiązanie sojuszu między chrześcijańskimi królestwami Brytanii.

– Król Eohric zaproponował, abys ty negocjował warunki sojuszu – wyluszczył jeden z bliźniaków, nie wiedziałem jednak który.

– Czemu ja? – zażądałem odpowiedzi.

Tym razem głos zabrał ojciec Willibald.

– Któż bowiem zna Mercję i Wessex tak dobrze jak ty?

– Wielu jest takich – odparłem.

– Za twoim przywództwem pójdą też inni – zauważył ojczulek.

Zasiadaliśmy przy stole zastawionym ale, chlebem, serem, potrawką z warzyw i jabłkami. Płonący na palenisku ogień rzucał roztańczone cienie na poczerńiałe od dymu belki. Pasterz miał rację: deszcz wkrótce przeszedł w śnieg, którego pojedyncze płatki wpadały do środka przez dymnik. Na zewnątrz za palisadą Waerfurth i lucznik wisieli na nagiej gałęzi wiązu, a na ich ciałach żerowały wygłodniałe ptaki. Większość moich ludzi była we dworze i przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Dziwna to pora na zawieranie sojuszy – zauważyłem.

– Alfredowi nie zostało wiele czasu – odparł Willibald. – A pragnie tego sojuszu, panie. Jeśli wszyscy chrześcijanie Brytanii się zjednoczą, tron Edwarda będzie chroniony, kiedy odziedziczy koronę.

Była to prawda, lecz po co Eohric miałby chcieć sojuszu? Odkąd sięgam pamięcią, król Eohric z Anglii Wschodniej siedział przycupnięty na płocie oddzielającym chrześcijan od pogan, Duńczyków od Sasów, i oto nagle zapragnął deklarerować swą lojalność wobec chrześcijańskich Sasów?

– Wszystko to z powodu Kanuta Ranulfsona – pospieszył z odpowiedzią jeden z bliźniaków.

– Przywiódł swych ludzi na południe – dodał drugi.

– Na ziemie Sigurda Thorrsona – rzekłem. – Wiem, sam posłałem wieści Alfredowi. Czyli Eohric obawia się Kanuta i Sigurda?

– W rzeczy samej – przyznał któryś z bliźniaczych księżulków.

– Kanut i Sigurd nie zaatakują teraz – odparłem – lecz może na wiosnę. – Kanut i Sigurd byli Duńczykami z Northumbrii i jak wszyscy Duńczycy marzyli o tym, by zająć ziemie Sasów. Najeźdźcy próbowali raz za razem i raz za razem ponosili porażkę. Jednakże kolejna próba była nieunikniona, albowiem serce Wessexu, wielki bastion saskiego chrześcijaństwa, chwiał się w posadach. Alfred umierał, a jego śmierć z pewnością sprowadzi do Mercji i Wessexu pogańskie miecze i pożogę. – Po cóż jednak Kanut czy Sigurd mieliby najeżdżać Eohrica? – spytałem. – Wszak zależy im nie na Anglii Wschodniej, lecz na Mercji i Wessexie.

– Pragną wszystkiego – odparł Ceolnoth. Albo Ceolberht.

– A prawdziwa wiara zostanie wyparta z Brytanii, jeśli nie staniemy w jej obronie – dodał starszy z dwóch saskich kapłanów.

– I dlatego błagamy cię, byś utworzył sojusz – objaśnił Willibald.

– Podczas bożonarodzeniowej uczty – dodał jeden z bliźniaków.

– Alfred przesyła Eohricowi podarek – ciągnął ochoczo Willibald. – Alfred i Edward! Okazali wielką hojność, panie!

Podarek zamknięto w srebrnej szkatule wysadzanej klejnotami. Wieko zdobił wizerunek Chrystusa z uniesionymi ramionami, a wokół niego wryto napis: „*Edward mec heht Gewyr-can*”, co znaczyło mniej więcej tyle, że relikwiarz ów wykonano na zlecenie Edwarda, albo – co bardziej prawdopodobne –

na zlecenie jego ojca, który przypisał ową hojność synowi. Willibald w nabożnym skupieniu uchylił wieko, odsłaniając wewnątrz wyścielane barwionym na czerwono materiałem. Na dnie relikwiarza leżała mała poduszeczka wielkości ludzkiej ręki, na niej zaś spoczywał rybi szkielet. Był cały, nie licząc głowy – długi biały kręgosłup z grzebieniem drobnych ości po każdej stronie.

– Oto i on – rzekł ojciec Willibald, ścisząc głos, jakby bał się, że zbyt głośny dźwięk zaszkodzi ościom.

– Martwy śledź? – spytałem z niedowierzaniem. – To prezent od Alfreda?

Książę, wszyscy jak jeden, uczynili znak krzyża.

– Ile rybich szkieletów wam trzeba? – Po tych słowach spojrzałem na Finana, swojego najwierniejszego przyjaciela, który dowodził też moimi ludźmi. – Chyba możemy im dać trochę zdechłych ryb? – zapytałem.

– Możemy je rozdawać beczkami – odparł.

– Lordzie Uhtredzie! – Willibald jak zwykle dał się podejść moim drwinom. – Ta ryba – mówiąc to, drżącym palcem wskazał ości – to jedna z dwóch ryb, którymi nasz Pan nakarmił pięć tysięcy ludzi!

– A zatem ta druga musiała być naprawdę wielka – odparłem. – Co to było? Wieloryb?

Starszy z saskich księży spiorunował mnie spojrzeniem.

– Odradzałem królowi Edwardowi, żeby najmował cię do tego zadania – rzekł. – Mówiłem, żeby posłał chrześcijanina.

– Poślijcie więc kogoś innego – warknąłem. – Wolę spędzić Yule we własnym dworze.

– Kiedy on uparł się, żebyś to ty jechał – zachnął się klecha.

– Podobnie jak Alfred – wtrącił Willibald i dodał z uśmiechem: – uważa, że przerazisz Eohrica.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Szósty tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohatera Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Uhtred otrzymuje od króla Alfreda i jego syna Edwar-
da ważną misję – ma negocjować warunki sojuszu między
Wessexem a Anglią Wschodnią. Z propozycją przymierza
wystąpił król Eohric, jednak był to podstęp, by zwabić Uhtre-
da na rządzone przez Duńczyka ziemie, tam wciągnąć go
w zasadzkę i zabić. Uhtred wychodzi cało z opresji, lecz wie,
że czeka go jeszcze niejedna walka.

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-560-0



9 788375 155600

Cena detal. 54,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE

